

BEZ EPIZODÓW

Główne role zaczęła grać już na studiach. Zmęczenie? Czasem tylko fizyczne. W *Shirley Valentine* pod koniec spektaklu prawie mdleje, ale mówi, że to bardzo przyjemne uczucie. Gdy zapomni tekstu, nie wpada w panikę, improwizuje. A czasem zdarza się i tak, że przychodząca „na Jandę” publiczność podrzuca aktorce brakującą frazę.



Stylizacja: MARIA SZAJ, EWA BARANIEWSKA, fryzury: ROBERT KUPISZ, makijaż: JULITA JASKÓŁKA.
Kardigan: Snobissimo; kamizelka: By Malene Birger, Blind Concept Store; koszula: Emanuel Berg

JAJanda

ROZMAWIA: AGNIESZKA SZTYLER ZDJEŃCIA: JACEK POREMBA

Jak debiut – to u Wajdy, jak wyjść na scenę – to 250 razy w roku. Żeby grać, ucieka ze szpitala, dla roli Marii Skłodowskiej-Curie zapuszcza naturalne siwe włosy. Krystyna Janda bez problemu występuje w reklamie, nie ma kapryśków gwiazdy. Szkoda jej tylko czasu na gale, więc wpada, odbiera nagrody i znika.

Twój STYL: Ma Pani już gdzieś swój pomnik? Jak Woody Allen w *Owiedo*?

Krystyna Janda: Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą pomniki nie mają żadnego znaczenia.

TS: Dla Pani może i nie mają. No, ale chcąc nie chcąc, jest Pani narodową ikoną, jak Jan Paweł II, Lech Wałęsa. Wchodzi Pani np. do warzywniaka i... co się dzieje?

KJ: Czy pani czasem nie przesadza? Wczoraj weszłam i nikt na mnie nie zwrócił uwagi. I dobrze! Ludzie mnie nie rozpoznają, odwracają się dopiero na dźwięk głosu. Na co dzień chodzę nieumalowana, a teraz mam jeszcze siwe włosy... (śmiech).

TS: Siwe włosy są z powodu roli?

KJ: Tak, przestałam je farbować dla Marii Skłodowskiej-Curie. Nie chcę grać w peruce.

TS: Podobno zamierza Pani wycinać z tego filmu sceny erotyczne?

KJ: Jeżeli film powstanie, będzie filmem Márty Mészáros. Ona zdecyduje. Był pomysł, by dodać trochę „erotyki”. Podobno młoda Maria Skłodowska-Curie była namiętna, ale w tym okresie życia będzie ją grała inna aktorka. Przekonuję Mártę i producenta, żeby tych scen było jak najmniej, bo uważam, że to ma być film o wielkiej uczonej, o jej skomplikowanym charakterze. I to jest fascynujące. Miała romans z Pauliem Langevinem, była tematem brukowców – ewenement w tamtych czasach – ale nie powinno się kłaść na to nacisku. Mnie chodzi tylko o proporcje tematów w scenariuszu.

TS: Gdyby to był film o mężczyźnie nobliście, pewnie sceny erotyczne nie umniejszyłyby rangi jego zasług... Jest Pani wrażliwa na tzw. kwestie kobiece. Poparła Pani parytety na listach wyborczych. Nawet mnie to zdziwiło...

KJ: Zdziwiło?! >

< TS: Tak, bo osiągnęła Pani sukces bez parytetów, forów. Wiele kobiet w podobnej sytuacji mówiło: „Mnie się udało, więc można...”.

KJ: Jestem pewna, że wielu kobietom trzeba stworzyć możliwość, aby zrobiły pierwszy krok. Potem już ruszą. Po '89 roku powiedziałam sobie, że nie będę mieszać się do polityki i nie robię tego. Jeśli jednak chodzi o problemy dzieci i kobiet, uważam, że trzeba zabierać głos, bo jest o czym mówić.

TS: A gdyby kobiety chciały Panią na prezydenta?

KJ: Ależ ja się do tego nie nadaję!

TS: Myślę, że mogłoby być ciekawie...

KJ: Myślę, że szkoda Polski na to, żeby było ciekawie. Dla mnie to wcale nie są żarty. Traktuję to, co dzieje się w Polsce i co się będzie w niej działo, śmiertelnie poważnie. Mam cały czas poczucie niestabilności. Ja powinnam robić to, co umiem – grać.

TS: Ile Pani już tych ról zagrała? W ogóle je Pani liczy?

KJ: Chyba rzeczywiście nie ma w Polsce w tej chwili aktorki, która zagrała więcej. To już około 200 ról. Zawsze grałam około ośmiu ról równolegle. W teatrze zwykle sześć i jednocześnie dwie w filmach. W dodatku w czasie, gdy np. w teatrze grałam Callas, w filmie – w *Kuchni polskiej*. Zawsze to były skrajnie różne postacie.

TS: Osłem postaci w głowie?! Można zwariować! Nie zdarzyło się Pani np. na planie *Stanu posiadania* Zanussiiego mówić kwestii *Modrzejewskiej*?

KJ: To zawód! Chirurg przecież też nie ucina ręki zamiast nogi, choć ma codziennie po kilka operacji. Aktorstwo polega po prostu na zapamiętywaniu i umiejętności powtarzania. Emocji, konstrukcji i sytuacji, którą ma się opowiedzieć. Od kilku lat gram około 250 spektakli rocznie. Prawie codziennie stoję na scenie. Posiadałam umiejętności techniczne i gotowość emocjonalną, która samą mnie czasem dziwi. Chodzi także o odporność psychiczną.

TS: Przed laty też tak było?

KJ: Wtedy było trudniej. Tym bardziej że nigdy nie grałam epizodów, od początku główne role. A tzw. soliści muszą mieć w sobie prawdziwą wolność, wiarę w ten zawód i wiarę w siebie. Przecież aktor, grając, cały czas siebie ocenia. W każdym razie ja to zawsze robiłam i robię. Przed laty do każdego wieczoru w teatrze, do każdego ujęcia w filmie musiałam się od rana przygotowywać emocjonalnie. Co dzień się zastanawiałam, czy wieczorem będę w stanie tak się zmobilizować, by zagrać np. Ninę Zarieczną w *Mewie*. I czy uda mi się zrobić to tak, żeby Triplew rzeczywiście miał powód popełnić samobójstwo. Raz nawet mi się zdarzyło, że zeszałam ze sceny w połowie, bo uznałam, że nie dam rady. Publiczność chyba nie zauważyła, że powinno być coś więcej, bo wybiegłam z placem, ale od dyrektora i reżysera spektaklu dostałam ostrą reprymendę. Dziś chce mi się śmiać z mojego zachowania. Rzeczywiście, dawniej zawód chyba mylił mi się z życiem. Tak było przez pierwsze dziesięć lat.

TS: Akurat dziesięć? To jakaś granica w zawodzie aktora?

KJ: Nie, w dziesiątym roku zagrałam w *Przesłuchaniu* Ryszarda Bugajskiego. Wiedziałam, że to rola życia. W tym filmie to, co umiem zagrać i co będzie na ekranie, było dla mnie równie ważne, jak życie. Granie tej roli i emocje z nią związane daleko przekroczyły moje obowiązki zawodowe, ale od tego filmu uważam się za aktorkę. Po *Przesłuchaniu* uznałam, że skończyłam terminowanie w zawodzie i zaczęłam go naprawdę uprawiać.

TS: Czula Pani od razu, że to przełomowa rola?

KJ: Wiedziałam, że druga taka propozycja może się nie zdarzyć. Wiedziałam, że wypowiadałam się na temat, który dla wszystkich widzów będzie równie ważny, jak dla mnie. Oddałam tej roli wszystko, co wtedy umiałam i rozumiałam – zawodowo i prywatnie, ale nie było strat – nie rozwiodłam się, dzieci nie cierpiały, nie głodowałam.

TS: A w innych rolach, w których na zawsze zapamiętała Pani Polacy... Co dała Pani tym postaciom z siebie, jaka wtedy Pani była?

KJ: Nie wiem, nie umiem tego ocenić. Grałam, i tyle. Każda z ról, nad którą zaczynałam pracować, była najważniejsza. Poza tym nic nie umiem robić bez emocji. Za rok kończę 60 lat! Nie pamiętam szczegółów sprzed trzydziestu lat (śmiech).

TS: Andrzej Seweryn skończył 65 i potrafi opowiedzieć, jaki garnitur mu Pani wybrała 30 lat temu! Z takimi detalami jak kroje kłap.

KJ: Ja, niestety, nie mam takiej pamięci (śmiech)! Nie pamiętam, ani co miałam na sobie, ani jaka byłam 30 lat temu i co z tego oddałam postaci...

TS: No ale np. w *Kochankach mojej mamy*...

KJ: To jedna z moich ulubionych bohaterek. Wtedy nie przyjmowałam wielu ról, które mogłyby zaszkodzić mojemu wizerunkowi, jaki stworzył Andrzej Wajda. Jego Agnieszka z *Człowieka z marmuru* nie mogła grać np. alkoholiczki. I pewnego dnia Andrzej powiedział: „Jest dla ciebie rola u Piwowarskiego”. Bardzo się z tego ucieszyłam, szczególnie kiedy przeczytałam scenariusz. Ale też nie było „ofiar”. W *Modrzejewskiej* też nie. Tylko na półtora roku wyłączyłam się z teatru. Co dzień wychodziłam z domu o szóstej rano na plan – jak do fabryki. Tyle tylko że mój mąż robił zdjęcia, więc byliśmy ciągle razem, mieliśmy cudowny czas.

TS: A rola Shirley?

KJ: Gram ją od 20 lat i już nie pamiętam, jaka była na początku! Zawsze była zbiorowym portretem kobiet. Shirley się zmienia, bo zmieniam się ja. Obdarzyłam ją moim poczuciem humoru, dystansem i złośliwością. Była ze mną w każdej chwili dużych zmian w moim życiu. Dziś jesteśmy – i ona, i ja – bogatsze o doświadczenia. Powtarzam konstrukcję, tematy, założenia roli, ale zmieniają się jej kolory. Dzięki temu Shirley wciąż żyje. Zakończenie spektaklu od 20 lat jest optymistyczne. Tylko że ja, grając to zakończenie, miałam inny stosunek do życia i losu. Finał za każdym razem ma więc trochę inny odcień. Zależnie od tego, co się dzieje w moim życiu.

29 października, na szóste urodziny Polonii, zagram *Shirley Valentine* 700. raz. Razem z publicznością.

TS: Widziałam Panią w serialu *Bez tajemnic* HBO. Oszczędna gestykulacja, żadnego rozedrgania, krzyku. Jak Pani się z tym czuła?

KJ: Dobrze, świetnie! Z Jurkiem Radziwiłowiczem graliśmy w jednym dublu po pół odcinka. Po 17 stron scenariusza! To była przyjemność. Gdyby nam pozwolono, zagrałibyśmy cały odcinek w jednym ujęciu. Cały odcinek pięć, siedem razy, w różnych ustawieniach kamery, do montażu. To byłoby coś.

TS: Po tej roli już nie będzie można mówić, że „Jan- da zawsze gra siebie”.

KJ: W *Modrzejewskiej* grałam siebie? Jako Florence Foster Jenkins jestem sobą? Medea to byłam ja? Jako Shirley wreszcie jestem sobą? Niewidoma Jadwiga Stańczakowa to ja? Dziesięcioletnia autystyczna dziewczynka z *Małej Steinberg* to także ja? Mam jeszcze puścić dym uszami? Czy zagrać psa? Tak naprawdę zagrałam „siebie”, tzn. osobę podobnie reagującą do mnie chyba tylko u Kieślowskiego w *Dekalogu II*. I to chwiliami.

TS: Bywa Pani zmęczona granie?

KJ: Tylko fizyczne. Mówienie takie jak w *Shirley* jest ogromnym wysiłkiem, pod koniec spektaklu prawie mdleję, mam zaburzenia oddechu. To wszystko jest jednak przyjemne, bardzo (śmiech). Choć zdarza się, że czasem szwankuje mi pamięć. Wychodzę na scenę i nie mam pojęcia, co dalej. Niedawno tak się zdarzyło, na szczęście w komedii, nie grałam tej roli pół roku. Zapomniałam tekstu, bo pomyślałam o czymś innym, no i koniec. W naszym teatrze nie ma suflera, więc po pauzie zwierzyłam się publiczności, że nie mam zielonego pojęcia, co mówię dalej, i poprosiłam o egzemplarz sztuki na scenę. Jakież było moje zdziwienie, kiedy kilka osób z publiczności bezbłędnie podpowiedziało mi dalszy tekst. Dostałam ataku śmiechu!

TS: To zapominanie nie stresuje Pani?

KJ: No, nie zdarza się to jednak często. Nie. Nie przyszedłoby mi do głowy, żeby np. z tego powodu bać się wyjść na scenę. Umiejętnie wybrnąć z sytuacji. Wiem, o czym jest spektakl, więc mogę go „opowiedzieć” swoimi słowami. Chyba że byłoby to przedstawienie wierszem. Ale proza jest mi niestraszna. Zawsze coś powiem, a potem mi się przypomni.

TS: Jak się Pani regeneruje?

KJ: Idę spać. Po prostu (śmiech).

TS: O, tu mnie Pani zaskoczyła. Myślałam, że sypia Pani cztery godziny na dobę.

KJ: Ach, to moje niespanie, o którym państwo tak często mówią, bo jest ono usprawiedliwieniem, że robicie mniej ode mnie... Proszę się nie niepokoić. Wyleczono mnie, już śpię. Chociaż prawdę mówiąc, gram za dużo. Kiedy byłam aktorką Teatru Powszechnego, mogłam pójść do dyrektora i powiedzieć: „Umawiamy się od dziś, że gram dziesięć razy w miesiącu i ani pół raza więcej”. W Polonii nie mam się z kim umówić (śmiech.) Jak trzeba, wchodzę i gram.

TS: To co musiałoby się zdarzyć, żeby Pani nie wyszła na scenę?

KJ: Raz się tak zdarzyło. Tuż przed spektaklem zemdlałam. Dwie godziny później leżałam na stole operacyjnym. To był ten jedyny raz. Niedawno miałam półpasiec. Niestety, umiejscowił się na twarzy, więc było ryzyko, że może zostać na zawsze skrzywiona, bo częstym powikłaniem jest przykurcz. Dostawałam trzy kroplówki z antybiotykiem dziennie. Wychodziłam ze szpitala z wenflonem w ręce i przyjeżdżałam grać. Potem wracałam na kroplówkę nocną. Było super.

TS: Podobno kiedyś złamała Pani nogę i uznała, że to znak, że trzeba się zatrzymać w biegu?

KJ: Nie, to było inaczej! Nie złamałam nogi! Mówiłam, że marzę o tym, żeby albo zająć w ciąży, albo złamać nogę. Bo to jedyne sprawy, które mogłyby mnie wyłączyć z grania na jakiś czas. Chociaż właściwie złamana noga nie jest powodem, by odwołać przedstawienie. Niedawno Iza Kuna grała w gipsie *W małym dworku*. Zmieniliśmy tylko pewne szczegóły w spektaklu, żeby w scenach erotycznych nie musiała się tak dużo czolgać. Spektakl się odbył. Jak trzeba, to trzeba.

TS: A Pani wciąż ma pokusę, by w teatrze zajmować się wszystkim? Podobno robotnicy mówili, że wolą Panią oglądać na scenie niż doglądającą cieknące kaloryfery...

KJ: To nie jest tak, że codziennie robię „obchód kaloryferów”. Po prostu mam oczy i uszy otwarte. Jak każda kobieta w swoim domu. Kiedy widzę, że cieknie kaloryfer, mówię o tym. A jak przechodzę i leży paperek, to go podnoszę. Potem tylko złośliwi mówią: „Ona tu sprząta”.

TS: Zdarzają się Pani momenty, kiedy myśli Pani: „Za dużo biorę sobie na głowę”?

KJ: Tak jak każdemu. Myśli pani, że będę teraz narzekała? Nie! Nie mam dosyć, nie mam za dużo ról, mam siłę. I w ogóle jest fajnie. I bardzo interesująco!

TS: I nie narzeka Pani nawet na kondycję polskiej inteligencji? Nie myśli, że jest na wymarciu? A ci, co zostali, nie chcą chodzić do teatru?

KJ: Rzeczywiście to już nie jest warunek sine qua non – żeby uważać się za inteligenta, nie trzeba znać kanonu literatury, muzyki, bywać w teatrze. Tylko że ja sama pochodzę z tzw. inteligencji technicznej. Ojciec był inżynierem, mama księgową. Rodzice nie chodzili do teatru. Pamiętam, jako dziecko, jak raz mój ojciec powiedział do mamy: „Musimy iść na Ćwiklińską, bo niedługo umrze”. I poszli na *Drzewa umierają stojąc*. Byli fajnymi, inteligentnymi, wykształconymi ludźmi, ale nie uważali, że chodzenie do teatru to obowiązek, więc ja się na publiczność nie obrażam. Zresztą skończył się czas wycieczek szkolnych i zakładowych do teatru. Mam świadomość, że na schodach Polonii siedzą ludzie, którzy prawdopodobnie nie zjedzą obiadu albo kolacji, bo wydali pieniądze na dość drogi bilet. Gdy latem gramy darmowe spektakle na pl. Konstytucji, zawsze ogląda je przynajmniej 500 osób. Widać, że ci ludzie od lat nie byli w teatrze, bo ich na to nie stać.



Paparazzi mnie nie śledzą

Nie mam romansów, nie piję. Pracuję, a to nudne. Nie można spotkać mnie na imprezie typu Kapelusze Roku. W ogóle mam to gdzieś. Zawsze była mi bliska Meryl Streep, która kilka razy zyskała miano najgorzej ubranej kobiety Hollywood. Myślałam wtedy: to jest coś!

Młodzież, którą dziś spotykam, jest taka sama jak ta 30 lat temu – wrażliwa na poezję, na nowe rozwiązania formalne. I gotowa odbierać rzeczy nowoczesne i trudne. To młodzież, która chodzi do teatru i której teatr jest potrzebny. A jest jej tyle samo, ile przed trzydziestu laty.

TS: Czyli młoda publiczność się nie zmienia. A młodzi aktorzy?

KJ: Niestety, czasem mam wrażenie, że ludzie w szkołach teatralnych uczą się, żeby grać w serialach. O antyku czy Szekspirze nie bardzo myślą. W każdym razie nieliczni.

TS: Dziewczyny już nie marzą o roli Ofelii i Julii?

KJ: Nie wiem, co jest bardziej cenione przez młodych: być rozpoznawalnym czy wybitnym.

TS: Nie chciałaby Pani znów uczyć studentów? Meblować im w głowach?

KJ: Uczylałam przez dwa lata. Teraz nie mam na to czasu. Zresztą nie sądzę, że bym była nadzwyczajną postacią dla studentów szkoły teatralnej. Nie przychodzili na moje zajęcia.

TS: Bali się?

KJ: Nie. Byłam bezpośrednia – wychodziłam na scenę i grałam z nimi. Tak jest mi najłatwiej tłumaczyć – pokazując. Nie byłam specjalnie krytyczna, bo nie dawali mi do tego powodu. Wielu było bardzo zdolnych. Część z nich debiutowała zresztą później w naszych teatrach. W Polonii i Och-Teatrze mamy dużo debiutów.

TS: Młodzi aktorzy przychodzą do Pani z CV i przekonują, że powinna Pani dać im rolę?

KJ: Tak, często. Tylko że nie ma co tego mitologizować, bo wszystko jest prostsze, niż się wydaje. Dużo zależy od szczęścia. Czasem potrzebuję młodego >



Człowiek z marmuru, 1976



Przesłuchanie, 1982



Kochankowie mojej mamy, 1985



Biała biuzka, 1987-2011



Shirley Valentine, 1990-2011



Bez tajemnic, 2011

< człowieka o konkretnym empoji. Ja też dostałam rolę w *Człowieku z marmuru* nie dlatego, że byłam taka genialna, tylko dlatego, że Wajda szukał właśnie takiej, a nie innej dziewczyny.

TS: Jakiej?

KJ: Nowoczesnej, otwartej, dynamicznej. Prof. Andrzej Łapicki powiedział mi, że ma taką studentkę i robi z nią właśnie *Doriana Graya*. A Andrzej Wajda zobaczył mnie jeszcze w *Trzech siostrach* w telewizji – grałam Maszę, na czwartym roku. I zaprosił na zdjęcia próbne.

TS: Kiedy Pani zaczynała, nie było paparazzich ani serwisów plotkarskich. Czy ich pojawienie się bardzo zmieniło postrzeganie zawodu aktora? I czy ingerują w Pani życie?

KJ: W moje życie? Ja nie jestem dla nich interesująca, bo nie daję powodu. Nie mam romansów, nie piję. Pracuję, a to nudne. W ogóle to bzdura, nie ma po co się tym zajmować. Przed laty był regulamin w teatrze: nie wchodzić i nie wychodzić wejściem dla publiczności. Nie pokazywać się prywatnie. To był wymóg oficjalny – nie odbierać widzom złudzeń. Teraz go nie ma. Poza tym mnie nie można spotkać w zasadzie na żadnej imprezie typu Kapelusze Roku.

Sześć ręczników w garderobie?

Zdarza mi się, że jako dyrektor teatru podpisuję umowy, w których ktoś żąda sześciu białych ręczników w garderobie. Moje zdumienie nie ma wtedy granic, bo ja nie mam takich pomysłów, ale rozumiem, że komuś są one niezbędne, bo inaczej... zagra źle.

TS: No ale czasem Pani pójdzie na premierę. Ktoś się odważył napisać o Pani, jak choćby o Kasi Cichopek, że ma obciachową sukienkę albo fryzurę?

KJ: Pewnie się ośmielili, ale ja nie pretenduję do miana ikony mody. W ogóle mam to gdzieś. W tym sensie jestem naprawdę wolną osobą. Nie czuję żadnej presji ani potrzeby bycia nowoczesną i aktualną w tym sensie. Ubieram się tak, żeby mi to za dużo czasu nie zajmowało i żeby mi było wygodnie. Poza tym ubieram się stosownie do sytuacji – i to cały kanon, jaki stosuję. Pamiętam, że wchodziłam na jakąś premierę i ktoś krzyknął, fotografując mnie jednocześnie, jakiej firmy mam płaszcz. Popukałam się w głowę. Co go obchodzi, jakiej firmy mam płaszcz? Zawsze była mi bliska Meryl Streep, która kilka razy zyskała miano najgorzej ubranej kobiety. Zawsze sobie wtedy myślałam: to jest coś!

TS: Są aktorki, które biegają od rana do nocy na różne imprezy. Co Pani o tym myśli?

KJ: To także sposób zdobywania propozycji zawodowych.

TS: Skuteczny? Prezentowanie nowej sukni, figury, świeżego botoksu na święcie kremu?

KJ: Skuteczny! W tej chwili to dobra droga, żeby wejść w środowisko, pokazać, w jakiej jest się formie, jak się wygląda. I że można się komuś do cze-

goś przydać. Trzeba bywać, kiedy się szuka pracy. Moja sytuacja jest inna – nie czekam niecierpliwie na telefon.

TS: Chyba nigdy Pani nie czekała?

KJ: Był czas, że telefon nie dzwonił, ale też był czas, że odmawiałam naprawdę wielu ról. Zresztą nawet w gorszych zawodowo okresach nie przyjmowałam roli, jeżeli uważałam, że jest nie dla mnie, że jest mi z nią nie po drodze.

TS: Których ról Pani nie zagrała?

KJ: Nie chcę mówić, bo inne aktorki je wzięły. W sztandarowych filmach. I serialach. Niektóre seriale były nawet dla mnie pisane.

TS: A z reklamami nie miała Pani problemu...

KJ: Nie. Pracowałam na Zachodzie już w latach siedemdziesiątych. Grałam ze świetnymi aktorami – Lino Venturą, Michele Piccolim, Ingrid Stieger – którzy równocześnie grali w reklamach. Nie miałam wątpliwości, że to jest normalne.

TS: A gdyby Pani miała ratować swój teatr od kłopotów finansowych, zagrałaby Pani w każdej reklamie?

KJ: Zależy za ile (śmiech).

TS: A w „Playboyu” by się Pani rozebrała?

KJ: Wykluczone! Nie dlatego, że to „Playboy”, tylko dlatego, że jestem już za stara i dziś to byłoby ingerowanie w moją intymność.

TS: W *Przesłuchaniu* się Pani rozebrała... To nie była ingerencja w intymność?

KJ: To miało funkcję dramatyczną. Scena była tak moc-

na, że nie zastanawiałam się: rozebrać się czy nie. Reżyser sięgnął po najbardziej drastyczny środek wyrazu. Chodziło o upokorzenie bohaterki. Nie rozpatrywałam tego w kategoriach rozbierania się, tylko upokorzenia mojej bohaterki. Dziś nie zgadzam się na wiele rzeczy, jeśli mi się nie podobają lub nie chce mi się tego robić. Ciężko pracowałam, żeby nie musieć się zgadzać na wszystko.

TS: A kiedy była Pani ostatnio rozkapryszoną gwiazdą?

KJ: Nie wiem. Bo właściwie co to jest rozkapryszona gwiazda? Zdarza mi się dziś, że jako dyrektor teatru podpisuję umowy, w których ktoś żąda sześciu białych ręczników w garderobie. Moje zdumienie nie ma wtedy granic, ale rozumiem, że komuś jest potrzebne sześć ręczników i że muszą być białe, bo inaczej źle zagra (śmiech). Dziś spóźniłam się na nasze spotkanie nie dlatego, że jestem rozkapryszona lub pani nie szanuje, tylko dlatego, że byłam na kropłówce ze znalezionym chorym kotem. Nie należę do świata blichtru. Nie to mnie bawi.

TS: A gdzie Pani trzyma nagrody, które dostaje od lat?

KJ: Połowę rozdałam na aukcje charytatywne. A reszta? Jest w teatrze, przy wejściu, w takiej gablotce. Jestem z nich dumna.

Rozmawiała AGNIESZKA SZTYLER